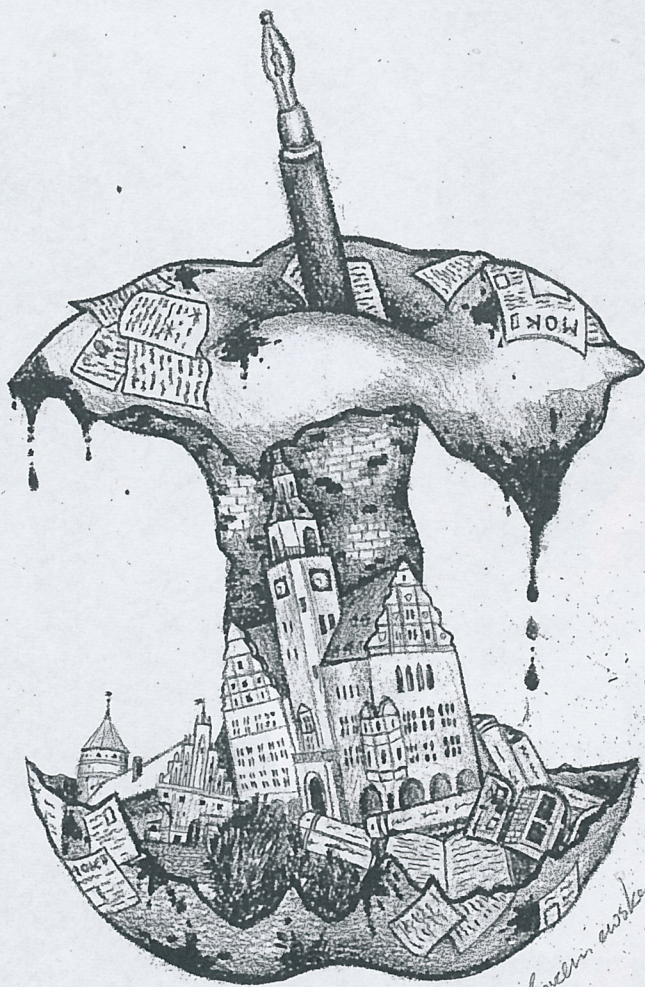


PAPERWORK

ART CH WORK



1

ART ZIN

Papierówka. Patchwork
nr 1 maj Olsztyn

Wydawca: Miejski Ośrodek Kultury w Olsztynie

Szpica przednia, redakcyjna: Ada Korzeniewska, Olga Żmijewska, Michał Dąbrowski

Boki i tyły zina zabezpieczają: Marta Parafińczuk, Mariusz Kwiatkowski, Karolina Lewandowska, Karol Fryta, Karolina Szymańska, Szymon Żylinski, Grzegorz Dżus, Mariusz Sieniewicz, Bożena Chrostowska, Dariusz Górkiewicz, Anna Maziuk

Fotografie: Olga Żmijewska

Grafiki i rysunki: Adrianna Korzeniewska

Mowa ulicy (teksty wyrwane ze ścian): uczestnicy i uczestniczki projektu



Wydziergane (fragment)

Julka wyobrażała sobie, że jest ptakiem. Latała ponad dachami domów i zaglądała w okna mieszkań - patrzyła na rodziny zasiadające do wspólnego stołu, młodych ojców grających z dziećmi w scrabble, pary zakochanych zlepiętych miłosnym objęciem jak jing i jang. Julka latała, porzuciwszy swoje ciało na pastwę profesora. Doszła już do takiej wprawy, że jak robot spełniała wszystkie jego zachcianki - znała już doskonale utarte sekwencje, wiedziała, jak stopniować napięcie. Była przecież pilną uczennicą, a techniki seksualne nie należały do szczególnie trudnych. Profesor był wniebowzięty!

- Grzeczna dziewczynka! - wykrzusił profesor, ulżywszy swoim popędom - Spisałaś się na medal!

- Co dostanę w zamian? - Julka powróciła do rzeczywistości. Zwinęła się w embrión i wtulona w ramiona profesora zadrżała. Taka sama szukająca schronienia.

- A co byś chciała? - zapytał profesor i zaraz potem klepnął się w łysy kolano - Byłbym zapomniiał! Mam dla ciebie małą nagrodę.

Nie tego oczekiwała. Zmarszczyła pytająco czoło. Tymczasem profesor wyskoczył z łóżka i pobiegł do przedpokoju. Przykrótkie nogi, lekko wiszący fałd brzucha i zarys łysiny składały się na kompozycję dość karykaturalną. Julka stłumiła śmiech i szybko pomyślała o czymś poważnym. Dyżurnym tematem był zmarły rok temu ukochany kot Keton, który sypiał zawsze tuż przy jej łóżku i chodził za nią po mieszkaniu krok w krok. Zadziało. Spowaźniała.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba. - Profesor zrobił minę dobrego czarodzieja, po czym wręczył jej pakunek.

Julka lubiła prezenty. Niecierpliwie rozdarła papier.

- Podoba ci się?

- Bardzo ładne - odparła, promieniąc niekoniecznie szczerym zachwytem.

- Będiesz w niej pięknie wyglądać!

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i podeszła do lustra w korytarzu. Było gorzej niż przypuszczała. Stała smukła i naga w brudnym ciemnym mieszkaniu. Pod stopami, które kleiły się do lepkiej terakoty wyczuwała grudki piasku. Patrzyła na swoje odbicie - kanciaste kolana, wąskie biodra, niewielkie piersi, które dopiero szykowały się do wybuchu, a teraz wyglądały jak uczestniczki niemego kabaretu. Na głowie

groteskowo wdzięczył się mistrz ceremonii, podarunek od profesora - pluszowa różowa opaska do włosów imitująca diadem. Chińska tandeta za kilka złotych. Brakowało tylko różowego jednorożca, na którym mogłaby czym prędzej zbiec z tego teatru.

- Jak kretyńka - pomyślała Julka, przeżykając upokorzenie.

- Jak księżniczka - wykrzyknął profesor, a jego zmęczona życiem twarz aż zajaśniała.

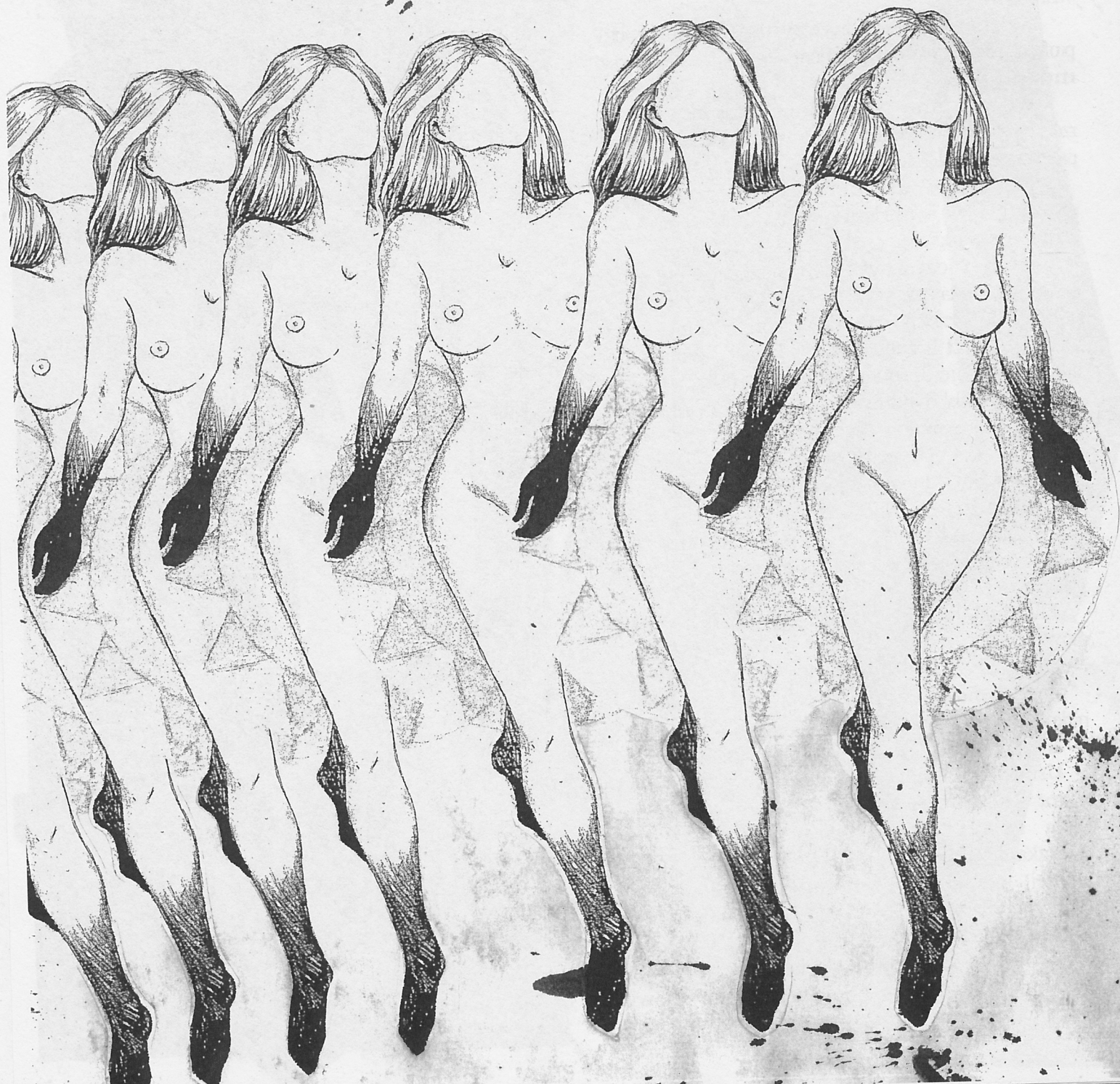


Karolina Szymańska

Palące pragnienie

Gdy myślami wciąż wracam w to miejsce
I znów jestem przy Tobie
Patrzę na Twoje umięśnione plecy
Kim jesteś Bezimienny
Nieustannym pożądaniem
Imaginacją
A może odległych wspomnień echem
Jesteś..?

Taki jest nowoczesny hedonizm
Spotykamy się w klubach
Odurzeni alkoholem
W skroniach wre nam krew
Wyuzdanych myśli
Ta kobieta klęcząca w ciemnym zaułku to ja
I Ty
Pośród ciemnych ulic i spalin
Mamy własne powietrze
Pot i sperma tym się żywimy



KAROL FRYTA

Postanowił znaleźć miłość. Wybrał serwis randkowy pełen starych panien z kotami, zboczeńców, zgorzkniałców różnej proweniencji, metroseksualnych dwudziestolatków z wypielęgowanym zarostem, pasjonatów masturbacji, Piotrusiów Panów, dziewcząt i kobiet z historią długą i ciemną, jak dzieje chrześcijaństwa.

Wyselekcjonował z twardego dysku piękne zdjęcie, na którym wydawał się ładny, długo cyzelował opis charakteru, krótko napisał o swoich zaletach. Dużo miejsca poświęcił wadom, wierząc, że szczerłość może być magnesem, przyciągającym kobiety.

Miał problem z określeniem swojej zwierzęcej natury. Serwis podpowiadał jedną z opcji: tygrysia, ośła, niedźwiedzia. Nad wypełnieniem tego pola głowił się dość długo, utyskując, że nikt nie pomyślał o baranie.

Zdefiniował, czy szuka

miłości czy też przyjaźni. Dodał z rozmysłem, że również liczy na przygodę. Odhaczył, że interesują go kobiety, rozwiewając wątpliwości ewentualnych entuzjastów jednopłciowej relacji. Dodał wzrost, naginając rzeczywistość, bo przecież po wypoczynku kręgosłup się wydłuża, więc nie kłamał, pisząc, że rankiem ma 180 cm.

Wątpliwości naszły go w momencie, gdy precyzował gabaryty ciała. Rozebrał się przed lustrem, stanął bokiem i przyjrzał się lekko zwisającemu brzuchowi, bo w grę wchodziła tylko ocena wizualna. Nie miał wagi.

Wybór między „szcuple” a „normalny” był trudny do rozstrzygnięcia za to bezdyskusyjnie odrzucił „lekko puszysty”. Ostatecznie postawił na „normalny”. Siedząc nago już do końca procesu rejestracyjnego dokonał wykupu konta premium, umożliwiającego mu pisanie nielimitowanej ilości wiadomości.

Zastanawiał się, czy trzydzieści dni to wystarczający czas, by poznać kobietę wartą literackich pieśni, czy może dorzucić jeszcze dwa miesiące, bo kwartalne członkostwo było w

promocji. Wybrał jednak krótszy okres, licząc, że skrzynka odbiorcza spuchnie od maili.

Rzecz jasna nie spuchła. Po tygodniu wyglądała na niedożywną, jak wieloosobowa rodzina z łódzkich Bałut. Napisał ze dwadzieścia wiadomości, starannie selekcjonując odbiorczyźnie swoich wirtualnych karesów. Odpadły mężatki, bo nie chciał być tłem, a grać pierwszoplanową rolę, wyeliminował rozwódki, wdów się bał, panny z dzieckiem przypominały mu siostrę. Skreślił kobiety starsze od siebie, a potem zdecydowanie młodsze, choć czuł bliskość z bohaterem prozy Nabokova. Wyrzucił do kosza z pomysłami ideę kontaktowania się z kobietami o regulowanych brwiach, odpadły kandydatki z ustami na zdjęciach złożonymi w trąbkę. W ogóle nie

zwracał uwagi na rude, bo oczyma wyobraźni widział swoją matkę, z kompletną obojętnością pomijał profile, których właścicielki nie legitymowały się wyższym wykształceniem.

Mijały minuty, godziny, dni. Adresatki jego uwzniośleń i sprecyzowanych oczekiwań nie odpisywały. Odczytywały wiadomości, o czym informowała odpowiednia ikona,

przeglądały jego randkowy profil, co mógł kontrolować dzięki płatnej funkcji konta. Zapoznawały się więc z jego pięknym zdjęciem, ładną buzią i szczerością. Bez efektu. Skrzynka odbiorcza milczała, jak spalona wieża kościelna z urwanym dzwonem.

Kiedy już mocno nafaszerowany frustracją chciał położyć się na torach w oczekiwaniu na Pendolino, to napisała Danusia. Wydała się miła, choć zachowawcza w pierwszym mailu. Była grzeczna i stawiała znaki diakrytyczne. Odniósł wrażenie, że jest uporządkowana. Używała emotikonów, ustosunkowała się do fragmentów jego profilowego opisu, wyważyła proporcje w liście, znajdując równowagę między pisanem o sobie a zadawaniem mu pytań.

Poczuł entuzjazm w to piątkowe popołudnie i od razu rzucił się do odpisywania, z animuszem tłukąc w klawisze. Następnie czekał niemal dobę na jej odpowiedź, która była o wiele dłuższa niż pierwszy mail, ale bardziej niechlujna, bo zdarzały się literówki. Złaził to na karb przypuszczalnego

LIS

f r a g m e n t

pośpiechu, bo wysnuł wniosek, że nie chciała zostawiać go dłużej bez odpowiedzi.

Przed odpisaniem na maila Danusi poszedł zrobić kawę i zostawił ją, aby przestygła. Wsiadł na rower i pojechał po papierosy do Żabki, aby mieć pod ręką wszystko, co wesprze proces epistolarny.

Po powrocie ze sklepu siadł z Jacobsem i z zaskoczeniem stwierdził, że dostał maila od 32-latkii o profetycznym nicku Lucky Girl.

– Dobrze trafiłaś – stłamsił pod nosem.

Zapisał kopię roboczą maila do Danusi, zawierającą jedynie krótkie „cześć” i zabrał się do czytania korespondencji od nowej koleżanki. Mail był krótki, niecierpliwy, zdradzający, że przynęta, którą zarzucił w swoim zaczepnym liście skutecznie wbiła się wraz z haczykiem w podniebienie Lucky Girl. W tych dziewięciu wersach było coś nęcącego, spodobała mu się bezpośredniość dziewczyny bez tego całego entourage i kokieterii charakterystycznej dla relacji damsko-męskich. Na końcu wiadomości znalazł numer gadu-gadu, co wprowadził go w dobry nastrój, bo lubił archaiczność. Często stawiał znak równości między starym a dobrym.

Zainstalował komunikator, z kwadrans zajęło mu przypomnienie sobie hasła, choć paradoksalnie pamiętał cyfrowy login. Po niemal górniczym wysiłku udało mu się wydobyć z głowy hasło, wyszukał profil Lucky Girl i zagaił...

GIL
t n e m g a r f
GIL

Kobieta?
Nawet nie!

Olga Żmijewska

Powiedz mi, jak żyć,

33 lata w maskach i zbroi, a wszystko stało się tak przewidywalne i nudne, że pozwoliłam sobie na odrobinę niekontrolowanego szaleństwa. Jakiś czas temu stwierdziłam, że dość i że przestaję ściemniać. „Co u ciebie?”. „A, mega rozpierducha. Nie jestem w stanie pracować, mam długi, leżę w trawie i dużo płaczę.” Konsternacja. „A u ciebie?”. Tu zazwyczaj dźwięki w wysokich tonacjach: „Aaaaa, super, super, wiiiieesz.”.

Okazuje się, że jest to absolutne no-go w wielkomiejskiej kulturze small-talkizmu. W dyktaturze bezwzględного sukcesu i alpinizmu dobrego samopoczucia, nie tylko sieje ferment, lecz także jest odbierane jako słabość.

Nowy rodzaj mainsplainingu: nieproszone życzenia dość obcych mi mężczyzn - dopierdol opakowany w pastelowe pozłotka dobroduszości. Dusz-noś-ci.

Rozwodnik, ojciec kilkorga dzieci wychowywanych przez jego różne eks: życzę ci, żebyś w końcu zrealizowała się w tym, czego pragnie każda kobieta i urodziła dzieciątko.

Bang!

Wujek z nadwagą i depresją – no, życzę ci, żebyś w końcu przytyła i nabrała kształtów, jak kobieta. Mężczyźni nie lubią takich chudych.

Jeb!

Pracownik korporacji - życzę ci..., bo, zawsze, kiedy rozmawiamy, jesteś w jakichś ekstremach, no więc życzę ci żebyś w końcu znalazła balans i równowagę.

Geez...

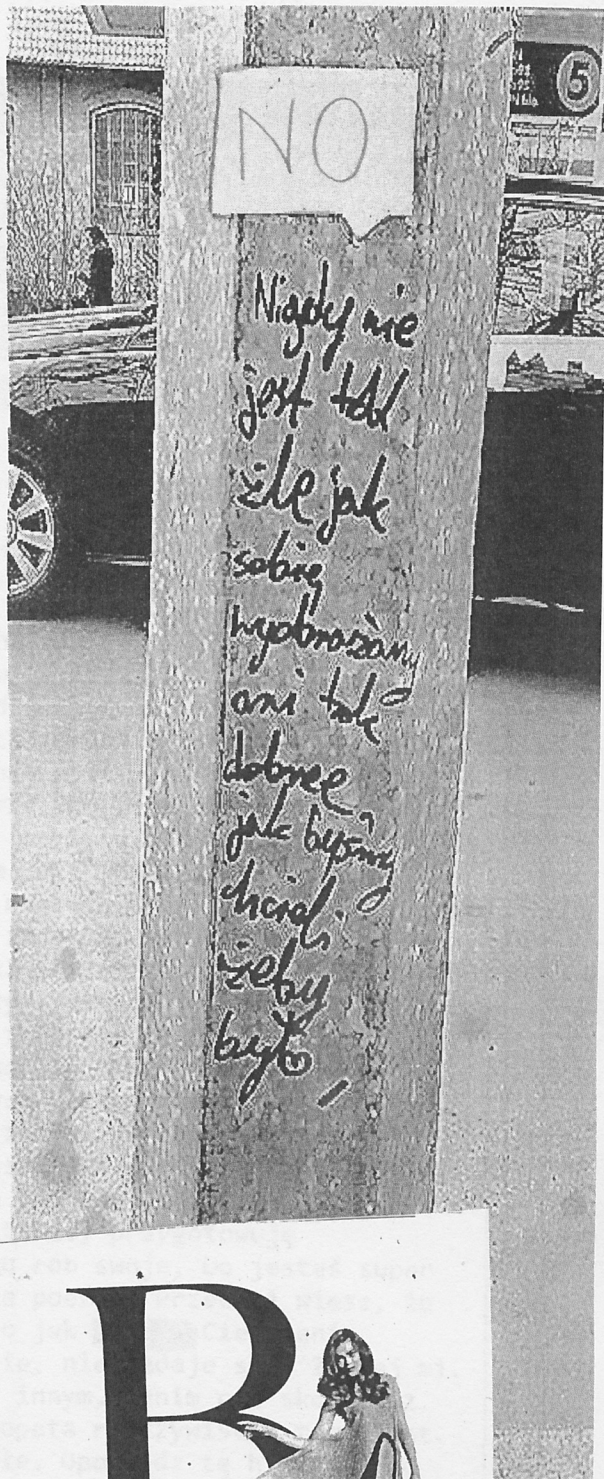
Dasz im scenę, a oni śmiało na nią wkroczą i odegrają tam monodram swoich kompleksów i bolączek. Swoich własnych.

Kolej na mnie.

Wam, drodzy, o nic nieproszeni mężczyźni, z całego serca życzę, abyście odważnie spojrzeli w to lustro, które wam podsuwam, zamiast je rozbijać kulą armatnią.

Może się kiedyś przydać, you know

m
e
ż
c
z
y
z
n
o
i



Niby nie trudnego

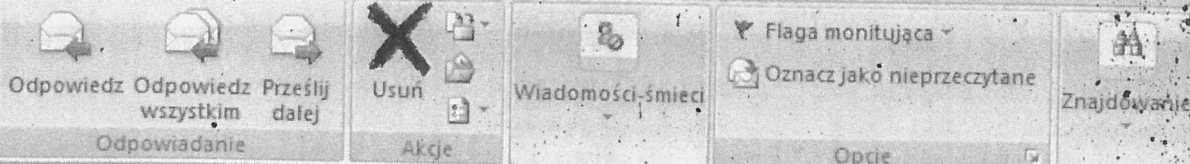
ślepe kopiowanie

Przezroczystości

W Halabdzzy bomby pękały cicho, sączać gaz o smaku jabłek
Kurdyjki złapane w martwym zdziwieniu, trzymały zdumione dzieci
Nikt już nie pija tutaj wściekle słodkiej herbaty, a stopy nie kresła halay.
za to w Bagdadzie zgiełk ulicy miesza się z wystrażałam radości.

KAROL FRYTIA

Wiadomość



Dodatkowe podziały wiersza w tej wiadomości zostały usunięte.

Od: DARIUSZ GÓRKIEWICZ

Wysłano: ∞

Do: DARIUSZ GÓRKIEWICZ

DW:

Temat: Cześć, Wilku!

Tak, to ja. Tak, to Ty. Dwadzieścia lat później. Nie muszę więcej tłumaczyć. Wiem, że pismo rozpoznasz.

Jest dobrze. Tak, jest mi dobrze na świecie. Mam kochającą rodzinę. Żebyś wiedział, z jaką babką żyję! Ucieszyłbyś się. Nic się nie martw, doczekasz się i Ty.

Parę słów wyjaśnień. Mogłem napisać do siebie pięć, dziesięć lat młodszego.

Wybrałem dwadzieścia. Dlaczego? Bo siedzisz tam w tych górach i nikt nie pisze do Ciebie. Zastanawiasz się nad sensem istnienia i właśnie przeżyłeś najcięższą i najpiękniejszą zimę w swoim życiu. Jak jakiś nietoperz. Noc była dniem, dzień

nocą. Szacunek, Wilku. Wciąż jestem z tego dumny i pamiętam. Nie odpuściłeś. A teraz idzie wiosna i jeśli myślałeś, że ostro już było, to mam dla Ciebie piękną niespodziankę.

Cyrk, Rockn'roll Cirkus, Stonesów? Właśnie puka do Twoich drzwi. Dlatego uwierz, piosenki są dobre, bardzo dobre. Popraw teksty i możesz je zagrać. Musisz je zagrać! Ja tak zrobiłem. I tylko pilnuj zeszytu i zrób kopie. Bo ja już ich nie gram, nie pamiętam, a chciałbym. Musiałem napisać nowe.

Właśnie, co do pisania i tych wszystkich innych fajnych rzeczy, które chcesz. To wszystko ma sens. Nie odpuszczaj. Nie słuchaj ludzi, że masz zrobić przedziałek, pójść na ekonomię (a na takie cholerne studia pójdziesz, jak się posłuchasz matki, zaraz jednak je rzucisz i pójdziesz na inne). Od razu idź tam, gdzie chcesz.

Dobra wiadomość dla Ciebie – w pracy gram na gitarze, przygotowuję przedstawienia i płacą mi za to. Czyli da się. Dlatego rób swoje, bo jesteś super młody facet. I pisz. Tylko proszę, wywal stamtąd swoje poezje. Przecież wiesz, że to słabe jest. I te opowieści o lesie też wywal, bo to jak Cierpienia młodego Wertera. To już było, a po drugie, nie nadaje się. Zaufaj mi. Ale najważniejsze – Rób to! Pisz! I nie pokazuj innym, zanim nie skończysz. A jak już doszliśmy do tematu, to ten gnój, ten psychopata rzeczywiście taki jest. I nie zmieni się. Dlatego nie wracaj tam nigdy na stałe. Opowiedz tę historię od początku do końca i stań się wolny.

Jesteś zwycięzcą, nie zapomnij o tym. A gdy zaczniesz brakować sił, to wiedz, że ratunek mieszka w drugim człowieku. I jeśli kiedyś ten drugi człowiek powie Tobie, że za dużo pijesz – uwierz, że tak jest. Co zrobisz, Twoja rzecz, Twój wybór. Ale wiedz, że skoro ja Ci piszę o tym, dwadzieścia lat później, to znaczy, że jest coś na rzeczy. Pamiętaj o swoim wujku, jesteście podobni.

I jeszcze jedno. Daj sobie spokój z Azją, to nie twoja bajka. Jednak, żeby się zabezpieczyć, tak na wszelki wypadek, gdyby ten list zmienił historię świata, to muszę tu napisać jeden konkret. Coś, co MUSISZ zrobić bezwzględnie!: w listopadzie 2003 roku, masz się znaleźć w GOK'u w Dywitach z grupą przyjaciół – będziesz w staroangielskim śpiewał kolędy. I nie myśl o tym, że nie znasz staroangielskiego. Nauczysz się i zobaczysz, co się stanie.

Wszystkiego Dobrego, Przyjacielu.

Zabawa dopiero się zaczyna.

Darek

ZATWIERDZONO

Graliśmy covery *Nirvany*, bo tylko ten zespół się dla nas liczył. Nie za bardzo wiedzieliśmy jak, ale mieliśmy Dariusza Pankowskiego, którego już same nazwisko predestynowało do tego, żeby realizować się muzycznie. Kilka lat starszy, z zespołem *Acid Trick*, rozpoznawalny na mieście. Dali kilka koncertów, nawet nagrali demo, na którym Dariusz (nikt nigdy nie mówił do niego Darek) wykrzykiwał *Eternal Forms, forever more*. Nawet jeśli to nie miało sensu, to i tak nieźle brzmiało, a poza tym, to nikt przecież nie znał angielskiego, żeby go poprawić.

Dariusz sam nauczył się grać. Brał gitarę i starał się tak łapać struny, żeby wyszedł dźwięk jak najbliższy temu, jaki słyszał. Ważne żeby brzmiał podobnie. Tak właśnie wszyscy się uczyli: kombinowali, markowali muzyków z ulubionych zespołów. Czasami ktoś z lepszym uchem, przekazywał tym z gorszym, jaki akord trzeba uchwycić, albo jak poprawnie wypłakać *Come as you are*, co tłumaczyliśmy ze słownikiem w rękę: *Przyjdź jaki ty jesteś*. Nie rozumieliśmy tekstu, nie potrafiliśmy grać poprawnie tych piosenek, ale czuliśmy, że robimy coś ważnego, coś wielkiego.

Instrumenty ukradliśmy z salki kościoła na Polnej. Dariusz miał tam próby ze swoim zespołem. Grali na kościelnych instrumentach, księża podobno nawet się cieszyli, że młodzi, niepokorni z długimi włosami garną się do Boga. Ale coś chyba nie poszło, bo wyrzucili muzyków za „satanizm”. Pankowski miał nadal dorobiony klucz. Nikt nie zmienił zamków.

Skoro już mieliśmy instrumenty, to gdzieś trzeba było grać. Wziąłem klucze do suszarni u mnie w klatce i rozstawiliśmy sprzęt. Gramy na maksa! Rozkręcone radia, ja walę w gary, ile wlezie. Drugo sobie nie pograliśmy, bo na dół zszedł sąsiad policjant z drugiego piętra.

– Chłopaki, za głośno! – upominał. – Ciszej, ciszej.

Od zawsze były problemy z salką, miejscem do naporzania, ale jakie to było naporzanie? Siwy z Feretą podłączali się jednym kablem do radia Unitra Diora. Długie, płaskie, koniecznie z wejściem. Służyło za wzmacniacz z wbudowanym głośnikiem. W jednych modelach, np. w Giëwencie oprócz głośności można też było dobrąć barwę dźwięku – te uważaliśmy za najlepsze. Inne, jak np. Sudety, mimo że wyglądały na nowocześniejsze nie pozwalały na zabawy z tonami. A z resztą chuj z tą regulacją. Ważne, że miałeś radio. Nikt z nas nawet nie myślał o kolumnie ze wzmacniaczem.

Dariusz nazywał nas pudrowcami, że tacy ułożeni jesteśmy. Ja się uczyłem, czytałem coraz więcej, Siwy jak nie grał na gitarze, to naporzał w piłkę, mimo że zapuścił już włosy i zarzekał się, że ze sportowym trybem życia ma niewiele wspólnego, a Fereta zakładał Nike Air i swoim oryginalnym Spaldingiem wrzucał kosz za koszem.

Wokalista *Acid Trick*, gdy nie grał, to pił, palił i wąchał klej. To był podstawowy środek do odurzenia się w połowie lat 90. Wszyscy ćpali. Nie było

Szymon Żyliński

alternatywy. Nikt nie marzył o trawie. Nikt nawet nie wiedział, że coś takiego istnieje.

Kiedy po raz pierwszy całym zespołem poszliśmy kirać budeks było naprawdę muzycznie. Najpierw słuchaliśmy u Siwego *In Utero*, a potem poszliśmy na neugory, w miejsce, gdzie obecnie stoi centrum handlowe. Zarośla, skarłate drzewka, teren podmokły.

Dariusz dał każdemu po siatce, w której na dnie było trochę kleju. Pokazał, jak wciągać. Wystarczyło kilka wdechów i miałeś bajki. Wydawało mi się, że jestem Kurtem Cobainem i chciałem pocałować Feretę, czyli Novoselica. Widziałem, jak robił to mój idol w jakiejś przebitce na MTV. Faza nie trzymała nas długo. Ze dwie, może trzy godziny. Fereta spóźnił się do domu i nie obrał ziemniaków na czas. Ojciec go, przyłapał. Wkurwił się, skroił mu dupę przedłużaczem i poszedł do rodziców Siwego. O kurwa! A ja to wszystko zaobserwowałem przez okno. To, że go łał też widziałem, bo przez moment mój wzrok penetrował ściany.

Kiedy moja mama przyszła z pracy, wzięła się za przygotowywanie obiadu. No nie mogłem wytrzymać tego, że nie wie – faza jeszcze wykrzykiwała rzeczywistość. Bałem się, że zaraz ojciec Ferety przyjdzie do mnie do domu, więc wszystko wyspiewałem. Płakałem. Obiecałem, że już więcej nie będę wąchał kleju.

Pankowski nie miał takich problemów, bo już



dawno wyfrunął z rzeczywistości, znalazł nawet odpowiedź na powszechnie znany fakt, że budeks niszczy mózg, robi w nim dziury:

– Po prostu trzeba to odespać. Przekimasz się i wszystko wraca do normy. Czasami trzeba spać dłużej, dłużej... – tu jego uwagę przyciągnął wzór na dywanie – dłużej niż przyjęte 10 godzin. Czasami nie wolno się budzić przez kilka dni.

Uciekłem ze szkoły, żeby pójść na jego pogrzeb. Pochowany jest na Poprzecznej, w grobie jego wuja, o niesympatycznym nazwisku Szczurek. Zawsze jak tam

zawitał to przy krzyżu zatknięta jest jakaś kartka,
kostka gitarowa, czy kwiatek. Taki lokalny Jim Morrison.
Wokalista *Acid Trick* przed śmiercią miał jazdy,
sprzedawał wszystkie swoje rzeczy, tylko po to, żeby
mieć na alko i budeks. Barykadował się w swoim
pokoju. Bił matkę. Wszyscy wokół mówili, że to przez
nią. Teraz jest głęboko wierząca i co tydzień, w
niedzielne przedpołudnie odwiedza grób syna.

• Dariusza znalazła jego dziewczyna. Umówił się z nią
w lesie, przy wejściu do wąwozu. Powiesił się na swoim
szaliku.

Kilka dni przed śmiercią był u mnie. Chciał sprzedać
kasety. Kupiłem jedną, bootleg *Nirvany*.

– Dziękj, pudrowcu.

DENATURAT I



BOŻENA CHROSTOWSKA

Odkąd pamięta lubiła dworce. Najbardziej te, do których wkraczało się przez rozsuwane drzwi, a ich wielkość udawało się objąć jednym spojrzeniem. Uwielbiała też połączenie dworca autobusowego z kolejowym – ich światy przenikały się i tworzyły wspólną, fizyczną przestrzeń. Podróżowanie, rozumowała, to szczególny stan umysłu niezależny od środka lokomocji, nie uznawała więc rozdzielania miejsc, w których zaczynał się on w sposób namacalny.

Za to właśnie lubiła dworzec w swoim mieście. Był w kształcie litery L, na dłuższym ramieniu ulokowano dworzec kolejowy (ten darzyła szczególnym uczuciem), zaś na krótszym – autobusowy (nie wiedzieć czemu, jakoś mniej ją interesował). Czuła dumę, że jej dworzec należał do pierwszych w kraju, które łączyły dwa przenikające się światy podróżowania.

Budynek z zewnątrz nie zachwycał. Ot, prosta bryła w szarym kolorze, przybrudzona przemijaniem, spalinami i brakiem zainteresowania inwestorów. Mijała dworzec codziennie, w drodze do pracy. Fasada była jej raczej obojętna, dopiero wejście do środka stanowiło rodzaj inicjacji. Kiedy przekraczała drzwi, a one zamykały się z jej plecami – jakby odgradzając jednym ruchem od tego co na zewnątrz – otwierała się rozległa, chłodna przestrzeń. Hala kasowa drgała wibracją głosu z megafonu i wyświetlanymi na tablicy planami podróży z nazwami miejscowości, w których nigdy nie była. Bydgoszcz, Zielona Góra, Gdynia, Łódź – pozornie nic nie znaczące zbitki liter uruchamiały wyobraźnię.

Schludnie ubrane i zmęczone kobiety sprzedawały obietnice innego świata za szklanymi taflami kas. Długie kolejki nadawały sens ich istnieniu. Nieraz przystawała z boku i przyglądała się twarzom, badała ubiór oraz rodzaje bagażu. W ten sposób tworzyła różne kategorie podróżnych. Po zakupie biletu, zachowanie ludzi ulegało zmianie. Cześć popadała w euforię, pospiesznie zmierzała do kiosku po gazety i napoje, nerwowo spoglądała na zegar, jakby chcąc przyspieszyć podróż. Inni, ociągali się, przygarbieni, powłóczyli nogami

i smętnie udawali się w kierunku peronów – chyba do ostatniej chwili chcieli odwlec swój odjazd.

Najbardziej lubiła obserwować dworcową poczekalnię. Podróżni siedzieli na niewygodnych, drewnianych ławkach. Tylko oni – tak się jej przynajmniej wydawało – kontemplowali wnętrze dworca. Mieli dużo czasu, by zanurzyć się w tę przestrzeń i chłonąć światło, które wpływało przez wielką przeszkloną ścianę. Trwali w zawieszeniu, pomiędzy „już nie” i „jeszcze nie”. Rozumiała ich bardzo dobrze.

Zapachy dworców to mieszanina przepoconych ciał, skwaśniałego alkoholu, kurzu, ptasich odchodów, przypalonych zapiekane i oddechów robotników, wracających z nocnej zmiany. To woń ulicy, przenikającej przez skrzydła drzwi, zapach torów kolejowych, podkładów i pociągów, a czasem perfum tych, co podróżują pierwszą klasą. Uwielbiała tę mieszaninę, choć jej skład mógł przecież wzbudzać odrazę.

Bywało, że zaglądała do dworcowych barów. Kupowała czarną, mocną herbatę i kiedy brąz suszu zabarwiał wodę, wyobrażała



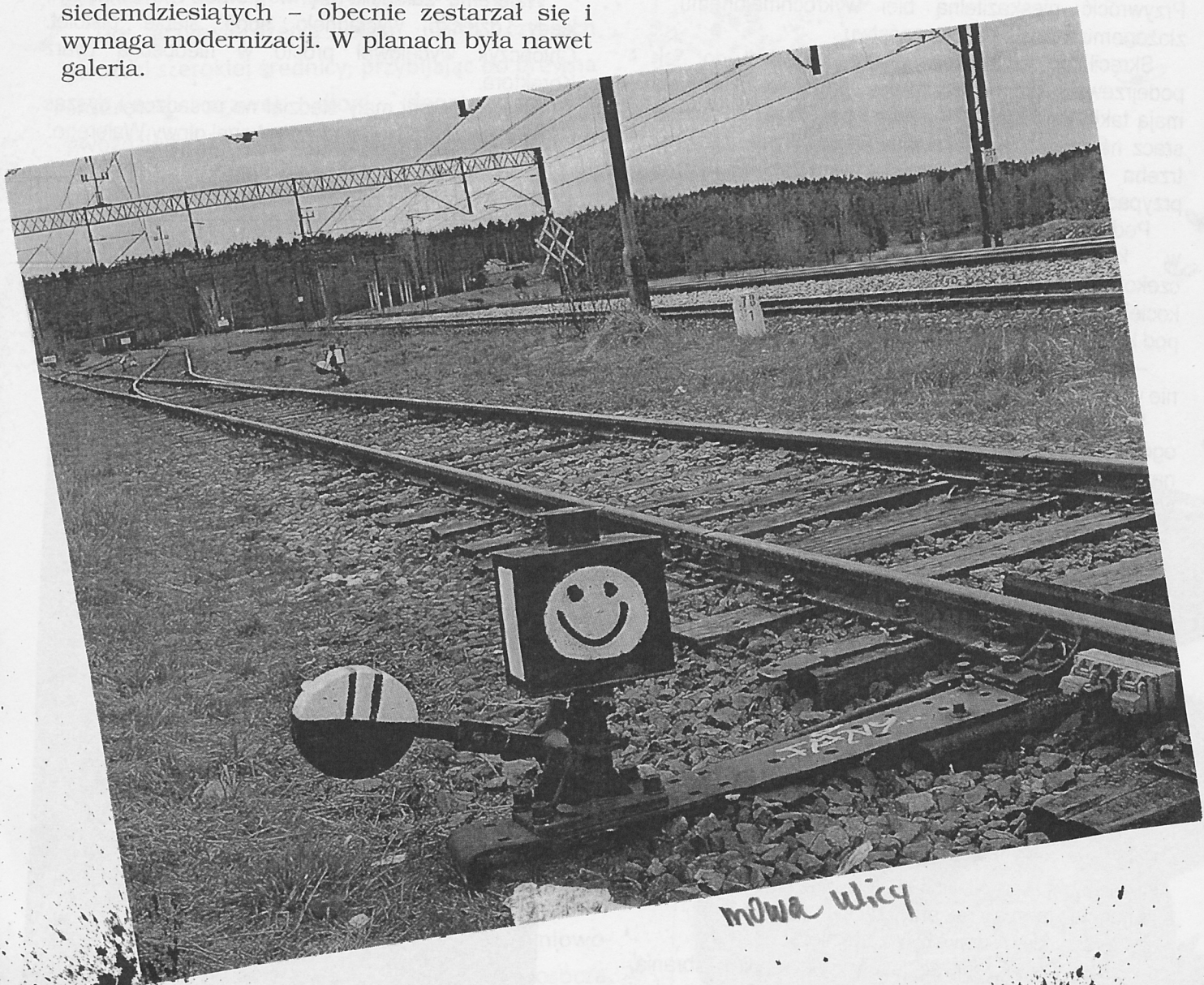
sobie, że w jej ciele rośnie to zawieszenie między światami, które nosiła w sobie. Dworzec był jedynym miejscem, gdzie mogło się ono swobodnie wyrazić.

Lubiła też stałość grafitowego wnętrza. Niewiele się tu zmieniało przez lata. Ludzie stale podróżowali, kupowali bilety, na tablicy stale zmieniały się zapowiedzi kursów pociągów. W niepokój wprowadzały ją zmieniający się właściciele barów, małych piekarenek i sklepików z asortymentem od majtek i spinek, po najnowsze wydania literatury pięknej. Nie były to zmiany drastyczne. Nauczyła się je akceptować.

Pewnego dnia, pozwalając płynąć niespiesznie myślom nad szklanką herbaty, mimochodem zerknęła na gazetę, zostawioną zapewne przez podróżnego. Na zdjęciu widniało zdjęcie z budynku dworca. Ktoś napisał, że – choć nowoczesny w latach siedemdziesiątych – obecnie zestarzał się i wymaga modernizacji. W planach była nawet galeria.

Zerwała się potrącając niedopitą herbatę. Szklanka roztrzaskała się na podłodze. Coś się w niej skuliło. Zmalało i zaczęło boleć. Nie! Pomyślała. Nie! Krzyczała w środku. Nie! Wyrwało się głośno i wzbudziło zainteresowanie ośpałych klientów.

Drzwi dworca rozsunęły się przed nią bezszelestnie. Chłodna przestrzeń wypuściła ją na świat. Blondynka wyszła zza lady. Sycząc ze złości wycierała rozlaną herbatę i zbierała potłuczone szkło. W tym barze gorące napoje sprzedawano w szklankach. Tak zdecydował jej szef. Zgarnęła też mokrą gazetę i pomyślała sobie, że jak w końcu zbudują tu galerię to herbata będzie sprzedawana w porządnym, plastikowych naczyniach i nie trzeba będzie trząść się nad każdą potłuczoną, przez takie wariatki jak ta, szklanką.



moja ulica

Operacja:

Obiekt:

Korekcja

Michał Dąbrowski

– Ciemno tu.

Walery wszedł do mieszkania. Szczelnie zastłonięte rolety, pozamykane okna, to wszystko spowijało pomieszczenie w lepkim mroku. Cienie kleiły się do oczu i zniekształcały przedmioty. Odór moczu i zgniłego mięsa wdzierał się do nosa i zdawał promieniować aż do mózgu.

Walnął stopą w szafkę. Syknął.

– Po co to zastłaniać to ja nie wiem.

Walery był Korektorem. Będąc nim, wiedział, że mieszkała tu samotna matka, policjantka, z dwójką dzieci. I że z jakiegoś powodu System uznał ich za błąd. Walery nie pytał dlaczego, ani nawet nie chciał wiedzieć. System był idealny, nieomylny. Nie miało znaczenia dlaczego tak postanowił. Oni zniknęli, a Korektorowi pozostało poprawić resztki błędu. Przywrócić nieskazitelną biel wykrochmalonemu i złożonemu w kostkę społeczeństwu.

Skręcił po omacku w prawo i wszedł do, jak podejrzewał, kuchni. Wszystkie poperelowskie bloki mają taki sam rozkład. Kuchnia i pokoje po bokach, a sracz na przestrzał z drzwiami wejściowymi, żeby nie trzeba było na zakrętach się wyrabiać w nagłym przypadku.

Podszedł do okna i odstłonił rolety. Rzeczywiście był w kuchni. Wściekle pomarańczowe ściany, czekoladowe szafki, srebrne AGD. Kichnął. I kilogramy kociej sierści. Białej i szarawej. Puste miski wały się pod kaloryferem.

– Dwa takie szczury kosmate trzymać w domu. Ja nie wiem.

Przyszedł głównie po dokumenty, ale zabrać miał ogólnie wszystkie rzeczy osobiste. Z imieniem, nazwiskiem, ewentualnie zdjęciem. Całkowicie wymazać istnienie błędu.

Poodstłaniał okna w innych pokojach. Drzwi do ostatniego z nich były zamknięte. Otworzył je i zderzył się ze ścianą duchoty. Smród dochodził właśnie stąd. Na włochatym dywanie leżał już trochę mniej włochaty, na wpół rozłożony kot. Kępki białej sierści sterczały makabrycznie na obciągniętej na kościach skórze. Zęby mu powypadały. Walery nigdzie w pobliżu nie widział drugiego, szarego kota. Widocznie silniejszy zjadł słabszego. Zapatrzył się na muchę chodzącą po oku zwierzęcia.

Miski.

Żołądek mu się skręcił. Miski w kuchni były puste. Wylizane do czysta. Zawrócił gwałtownie, prawie wywalając się na śliskich od fekaliiów panelach. Wpadł do kuchni i jeszcze raz przyjrzał się miskom.

Czyściutkie. A drzwi były zamknięte.

Zaczął przeszukiwać szafy. W środku ubrania, odkurzacz, wieszaki, ozdoby choinkowe. Potem zaczął zaglądać pod łóżka i do skrzyń na pościel. Na koniec sprawdził pawlacze w przedpokoju. Wszędzie nic.

Zdyszany wszedł do ubikacji. To było jedyne pomieszczenie, gdzie wentylacja jeszcze działała i nie śmierdziało tak mocno. Klitka, w której siedząc na sedesie szurano się nosem o drzwi. Walery opuścił klapę i usiadł. Zgrzał się jak nigdy. Spojrzał na migoczącą w górze żarówkę. I wtedy jego wzrok natrafił na jeszcze jeden pawlacz. Pojedyncze drzwiczki zawieszono zaraz nad drzwiami. Przełknął ślinę.

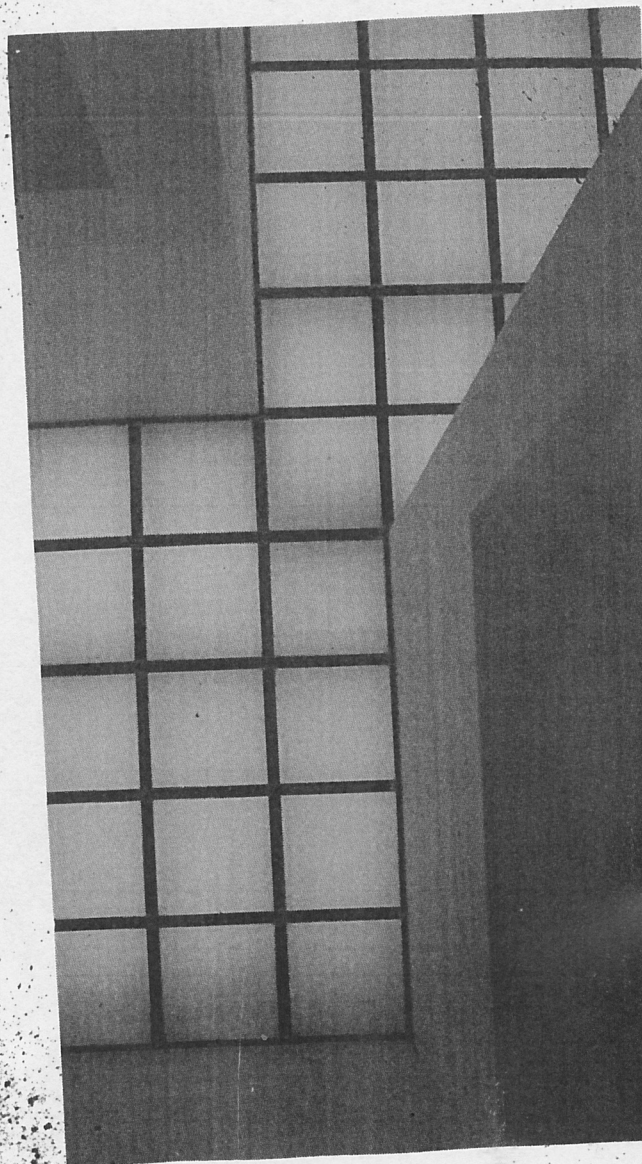
Stał na kiblu. Prawie stracił równowagę, kiedy muszla zabujała się na źle przykręconych śrubach. Drżącą ręką złapał za okrągły uchwyt od pawlacza. Otworzył drzwiczki.

Dziecko. Przerażone. Kanciasta głowa, podkrążone oczy i zapadnięte policzki. Wokół ust miało resztki odchodów.

System jednak się pomylił. Przeoczył tego dzieciaka. Jak to możliwe? Przecież System jest idealny. To dzięki niemu społeczeństwo jest utrzymywane w ryzach. To on daje i odbiera. On jest początkiem i końcem. A teraz po prostu się... Pomylił?

Waleremu zakręciło się w głowie. Nie zauważył, kiedy dziecko wyciągnęło spod siebie pistolet. Chłopczyk wycelował prosto w nieobecną twarz Korektora.

Chwilę później mały siedział na posadzce i dysząc wyjadał resztki mózgu z roztraskanej głowy Walerego.



"Klątwę" Frijćia

Pósterunkowy z Dajtek ogląda

by Rak

W dniu dzisiejszym, w toku podjętych na miejscu zdarzenia czynności, stwierdzono, że ofiarą jest mężczyzna, rasy białej, w wieku około 30-40 lat, wzrost około 175-180 centymetrów. Sylwetka szczupła, wysmukła. Nos długi, średni. Cera śniada. Długie, ciemne włosy, zarost w postaci wąsów i brody. Mężczyzna jest przepasany białą chustą, mocowaną na węzeł.

Ciało denata odnaleziono przytwierdzone do drewnianej konstrukcji, nieoheblowanej, w kształcie krzyża. Na górze krzyża, nad opadniętą głową denata, umieszczono tabliczkę drewnianą z rytymi napisami. Napisy najprawdopodobniej naniesiono w trzech językach. Tabliczkę przekazano do ekspertyzy językoznawczej.

Do przytwierdzenia ciała użyto czterech gwoździ szerokiej średnicy, przybijając do drewna śródręczę prawej dłoni denata jednym gwoździem i śródręczę lewej dłoni jednym gwoździem. Obie stopy denata na wysokości śródstopia również przybito do krzyża, używając po jednym gwoździu dla każdej ze stóp. Spowodowane obrażenia stóp i dłoni doprowadziły do krwotoków.

Ze wstępnego rozpoznania na miejscu zdarzenia wynika, że zabójstwo mogło mieć charakter religijny lub rytualny. Świadczy o tym umocowanie ciała na krzyżu oraz opaska kolczasta na głowie denata, imitująca koronę. Opaska została wykonana z krzewu, przypominającego krzew cierniowy. Opaska spowodowała wystąpienie ran kłutych, szarpanych. Nad głową denata stwierdzono również żółtą poświatę, niejednorodną w barwie z przejściem tonalnym.

Na ciele denata znajduje się również rana kłuta wlotowa, międzyżebrowa, umiejscowiona z prawej strony ciała na wysokości mostka. Rana została zadana od dołu o czym świadczy kierunek wlotu. Obrażenia mogły mieć wpływ na powstanie niewydolności krążeniowo-oddechowej, co wraz z obfitą utratą osocza, doprowadziło do zgonu.

Jerozolima, wzgórze Golgota, 3.04.33r.



Rak

Zimą przechodzenie przez dziesięciometrowy korytarz dzielący mieszkanie od ubikacji jest udręką, szczególnie, gdy obudzić się w środku nocy: ciepło pościeli oddała się nagle, brutalnie i następuje bolesne przebudzenie – wtedy cudem unikam hałaśliwego obijania się o ściany, wymijam jakoś stojącą w połowie korytarza szafę – barykadę, z trudnością trafiam palcami w pokrętle zamka i drżącym sercem odliczam jego dwa głośnie, krzyżące obroty. Potem jest wysepka podestu na klatce schodowej i następne drzwi, które otwierać można śmieiej, nie troszcząc się o zachowanie ciszy; wewnątrz trzy małe klitki, uszeregowane pokornie po prawej: wspólna ubikacja, i dwie łazienki, ledwie mieszczące wanny. Po lewej przejście, łącznik zabarykadowany pralką sąsiadki. W naszym boksie wanna o wysokich bokach, stara, zniszczona i pożółkła. Anka zszargała sobie ręce, próbując przywrócić jej białosc – krótką, okropnie nieforemną. I nasza muzealna pralka, automatyczna wprawdzie, ale zużyta tak, że co tydzień wymaga przeglądu – kiedy podnoszę jej pokrywę, czuję się jak u wejścia do labiryntu – płatanina kabli, które niegdyś różniły się kolorami, a teraz stanowią tylko część szarobrunatnej, tajemniczej maszynierii, która da się naprawiać jedynie intuicyjnie, nawet z zamkniętymi oczami; awarie pozbawione są logiki, więc moje palce elektryka-dyletanta nie czynią szkody jej wnętrzościom. Nie mając innych podobnych możliwości, godzę się ze statusem niepełnosprawnego czarnoksiężnika, maga, który utracił prawa do większości zaklęć. Ale zimową nocą, stęskniony za powrotem do łóżka, nie mam i nie chcę mieć nadziei na nic innego niż powrót snu. Przełomowy fragment mojego somnambulicznego kołysania się pomiędzy snem, a zamarzaniem przypada na przekradanie się obok łóżeczka Irki – fakt, jej sen z reguły trwa niezamącony w nocy cichej i w nocy imprezowej, także wśród noworocznych salw i pojedynczy śpioch, brnący poprzez noc i szorujący po ścianie czy po krawędzi serwantki, nie może zburzyć tego spokoju w żaden sposób. Niemniej jednak, na wszelki wypadek, przemykam na palcach, naśladując bezwiednie styl pijanych mężów wracających na łono rodziny i pod ostrzał żon o jakiejś nieprawdopodobnej, mrocznej, środkowo nocnej godzinie.

I kiedy już wsuwam się pod rozek kołdry, przypomina mi się historia określająca przedziwnie smak tej zimy, banalna i magiczna. I jak zwykle jedyna w swoim rodzaju.

Zima nas wytresowała i to bardzo solidnie – była bardzo, bardzo wymagająca. W gruncie rzeczy – gdy mówić o tym, co wyprawiała z naszymi nocami – byłem jedynym pechowcem, któremu aż tak dały się we znaki te śródnocne eskapady, przez nieogrzewany korytarz i gwizdzącą przeciągami klatkę schodową – powinienem za to winić wyłącznie moje nadwrażliwe nerki i lekki sen, który czmycha przy lada okazji, by tuż przed świtem zmieniać się w sen kamienny.

Nie mam pojęcia, jakim cudem zgodziliśmy się płacić horrendalne komorne za najmniej szczelną i najgorzej ogrzewaną lodownię przy słynnej ulicy piotrkowskiej w pewnym mieście, którego nazwę czasem lepiej przemilczeć. Być może wybierając lokum, wyczułem intuicyjnie te niesamowite, inspirujące możliwości, kryjące się w odbywaniu regularnych nocnych manewrów, powodujących chroniczne zapalenie oskrzeli albo przeciwnie: uodparniających na wszystkie już szczepy chorobotwórczego świrństwa.

Żyliśmy tam w wielkiej łagodności, trwającej mimo strasznego pośpiechu naczynającego nieodwołalnie moje życie. Anka wypychała mnie z łóżka o piątą z minutami: jedyna skuteczna metoda odrywania od snu zaprzysięgłego i wytrwałego piecucha, zdeorientowanego fatalnie przez następne trzy kwadranse,

starającego się oszukać, senność papierosem i dwoma wielkimi kubkami kawy, najlepiej parzonej po turecku, do której po pięciu minutach parzenia wlewa się naparstek zimnej wody, by nie poparzyć sobie ust, które nie czytają jeszcze gradientów temperatury; szybkie śniadanie jedzone pod czujnym okiem zegarka pilnującego, bym nie przegapił najdogodniejszego autobusu. Nic zresztą nie mogłoby się zdarzyć rankiem, gdyby Anka nie wychwytywała tak błyskawicznie żałosnego westchnienia ciszy, rozcinanej rachitycznym popiskiwaniem mojego mikroskopijnego budzika.

Ostatnie dwa czy trzy zgodne z ceremoniałem duże, prawie dławiące łyki kawy, pocałunek na czole Anki, neser – plastikowy piekielny rezonator – przewracający się w mrocznym przedpokoju i chwytany w ostatniej chwili, zanim rumor rozwścieczy wszystkich nieskazitelnie sennych domowników i, poza planem, rozpocznie dzień ławiną – awanturą... wymagana jest więc rozpaczliwa robinsonada w obronie ciszy i bezpieczeństwa wypoczynku.

Później pozostawało mi oswobodzić palce zapętlone w sznurowadłach, dopiąć kurtkę i szczękając zapalniczką odpływać ku drzwiom wejściowym, grubym, ciężkim i obleśnie kremowym od wewnętrznej strony. Klatka podwórka, w której czaiły się wszelkie wiatry nocne i poranne, chłód i wilgoć, tunel wąskiej bramy, gdzie niejeden raz przylapywał mnie zielony jaszczur: rozpędzony i hamujący w ostatniej chwili samochód gazeciarza (to jedyne w swoim rodzaju miejsce na świecie – nigdy wcześniej i nigdy później nie widziałem gazeciarza rozwożącego pierwsze wydania dzienników roverem 620 ze skózanymi fotelami). I dalej: brnięcie przez wydeptane śniegowe błoto na wszystkich chodnikach, prostowanie kości, uszczelnianie szalika. Anka pochrapywała znów, gdy ja domagałem się od kioskowej sprzedawczyny wyrwania z pliku dopiero co przywiezionej prasy wielce pożądanego przeze mnie numeru Wyborczej, goniłem za tramwajem, wsiadając wprost w zamykające się drzwi, dwa niezauważalne przystanki gdzie zbierano dalszych niedospanych marzycieli, gwałtowne katapultowanie się, papieros w usta, bieg przez ożywający z wolna plac targowy, noszący to samo imię, co ulica, przy której spędziłem 18 lat dzieciństwa w innym, nielubianym i brudnym mieście, małe chwila pauzy na kolejnym przystanku, dopalić papierosa, odsapnąć – wreszcie moszczenie się na którymś z tylnych siedzeń autobusu, by przetrwać trzy, może cztery minuty oczekiwania i dwudziestopięciominutową podróż.

Tak to sobie było. Dobrze było. Dzień po dniu – czasami ciężko – ale pięknie też, nieustająco pięknie. Przetrawiliśmy w tamtym mieszkaniu porę strasliwej biedy, gdy Anka dokonywała cudów, mnożąc śmieszne pieniądze i dając mi miłość najpełniejszą z tych, które znałem. Warto było trudzić się tam. Dobrze było. (...)

Mariusz Kwiatkowski



Dariusz Górkiewicz **ALGORHYTHM** W Olsztynie wystąpił zespół

Algorhythm z Trójmiasta, który promował swoją drugą płytę. Jazzowy kwintet istnieje od 2013 roku. Muzyki zespołu wcześniej nie znałem. Poszedłem na koncert zachęcony słowem „jazz”, którego w Olsztynie nie doświadczamy często. Na miejscu okazało się, że publiczność dopisała. Wszystkie miejsca zajęte. Ludzie siedzieli też na schodach, gdzie się dało. Na scenie leżały instrumenty. Wspaniały widok dla jazzfana. Klasyczny skład moim ulubionym wydaniu: klawisze, kontrabas, perkusja, saksofon i trąbka. Przy perkusji, obok bębnow, zwracał uwagę dziwny metalowy twór, wyglądający jak oddarty z koloru czajnik. Wzbudził powszechne zainteresowanie. Muzycy weszli na scenę w ciszy. Podeszli do swoich instrumentów. Perkusista Sławek Koryzno rozpoczął koncert solowo od grania na czajniko-podobnym tworze. Z początku dotykał delikatnie pałeczką, prawie niesłyszalnie, ale od razu pięknie trzymał rytm i przykuł uwagę. Na sali była cisza. Dźwięk narastał, przeszedł w melodię daleką od jazzu. Już rozumiałem skąd tytuł płyty „Mandala”.

Szymon Burnos, pianista, wyjaśnił, że tak rozpoczyna się ich płyta, z której utwory nam zagrają. Drugi utwór „Taco Taco”. Gra już sekcja rytmiczna, a moje stopy natychmiast stukają do rytmu. Dołączają instrumenty dęte. Muszę to napisać; po plecach przeszły ciary. Od pierwszych dźwięków zaiskrzyło między muzykami a publicznością. Wykonawcy byli pewni swego materiału, który wyrastał z klasycznego jazzu, ale łamał go, przekraczał gatunek. To sprawiło, że muzyka ta była świeża i porywająca. Niby znana, a jakże nowoczesna, z zaskakującymi zmianami rytmicznymi. Tu nie było oczywiste. Poza tym, że muzycy grali z pasją, instrumenty rozmawiały między sobą i w zjednoczeniu podbijały nas, słuchaczy. To, co było widać od pierwszej chwili, to że są bardzo zgrani i są wspaniałymi instrumentalistami.

Szymon zapowiedział utwór „Friendship”. Kolejny „VJ”. Prezentowali nam swoje utwory, a każdy kolejny to podróż. Muzyka jazzowa to improwizacje. Po wygraniu głównego tematu, Piotr Chęcki miał czas pokazać jak gra na saksofonie solo. Cała sala biła brawo. Pasja, energia. Kolejne sola nagradzane już nie tylko brawami, ale też okrzykami. Emil Miszek na trąbce tłumiał dźwięk, grał kolorami, emocje były wyczuwalne. Był łagodny, melodyjny, by nagle razem kolega saksofonista zaatakować dziko i nieobliczalnie, po czym nagle we dwóch wracali do głównego tematu. A saksofonista? Krzyczał, szeptał, dławiał się, nucił. Obaj panowie grali do siebie i ze sobą, i delikatnie i wściekle. Odpadali od siebie i wracali. Ale żeby tak grać, potrzebna pomoc. A do pomocy mieli sekcję rytmiczną marzeń. Krzysztof Słomkowski, kontrabasista pulsował rytmem. Wspinał się po gryfie, spadał i cały czas z wyraźnym bitem. Szarpał, muskał w jednym miejscu, szarpał, muskał w podróży po strunach. W czasie jego solówki kontrabas wydał się o wiele lżejszym instrumentem, niż był rzeczywistość. Pokazał jak gra i dostał wspaniałe brawa.

Szymon, gdy grał na klawiszach to, jak u reszty kolegów, dźwięki były piękne, liryczne, aż dochodził do wściekłości. Był sekcją rytmiczną, melodią i kontrapunktem. Czasami otaczał akordami, był główną postacią, by za chwilę usunąć się w cień, malować tło. Perkusista grał jazzowo, transowo, punktował. W solówce ręka ściagała rękę. Ale poza szybkością mnie najbardziej ujęło to, że Sławek grał melodiami, przełamywał schematy jazzowe. Muzycy z Algorhythm zagraли jazzowo, ale nie trzymali się sztywno reguł. Złamali rutynę. Pojawiły się elementy wschodnie, melodyczne rodem z minimalizmu. W jednej chwili z improwizacji bliskiej free wpadali w dźwięki wprost z muzyki filmowej, by po chwili z powrotem być blisko klasyki. Tu nie było oczywiste: Mam wrażenie, że czasami zaskakiwali samych siebie. Taka zabawa możliwa była dlatego, że są wspaniałymi instrumentalistami, sięgali poza jazz i cieszyli się muzyką. Taka mieszanka mogła wywołać tylko jeden efekt. Publiczność została podbita.

Po koncercie dowiedziałem się, że instrument, który tak przyciągnął uwagę nosi nazwę „drum tank” - instrument muzyczny z grupy idiofonów, które uważane są za instrumenty najwcześniej znane ludzkości. Ten egzemplarz został wykonany z butli po gazie. Wrażenia po koncercie? Po prostu kupiłem płytę i poprosiłem o autografy.

Zaprasza na koncert

Papierowa

KRONIKA WYDARZEŃ (a czy b, część wybrałem, resztę sam.sobie zakresi)

1. Dnia 15.02.2017r. w Olsztynie odbył się jubileusz 25-lecia istnienia Książnicy Polskiej. Gościem honorowym była pisarka Katarzyna Bonda.

a) *Fajne babki piszą kryminały.*

b) *„Ostra Żyła” okazała się wyluzowaną, spoko kobietką.*

2. W dniach 25.03 – 01.04.2017r. odbyły się XXV Olsztyńskie Spotkania Teatralne.

a) *Stuhr, Gajos, Damiński – znamienici artyści przyczynili się do zużycia powierzchni płaskiej olsztyńskiej sceny.*

b) *„Wygina śmiało ciało” tak powinien brzmieć tytuł spektaklu „Klaps! 50 twarzy Greya”.*

3. 22.01.2017r. Kamienica Naujacka gościła Jana Chojnackiego – dziennikarza radiowej „Trójki”.

a) *To „Trójka” jeszcze istnieje...?*

b) *Tylko czarni najlepiej znają się na bluesie. Białe co najwyżej o disco polo mógłby podyskutować.*

4. 16.03.2017r. MOK zorganizował Prezentację Ekspozycji Miesiąca.

a) *Osram Lampę – opowiadał Rafał Bętkowski.*

5. Koncert Nadzwyczajny z udziałem Małgorzaty Walewskiej odbył się w dniu 14.01.2017r. w Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej.

a) *Maestra z Warszawy przybyła na prowincję, aby ukulturalnić WieśMaców?*

6. Dnia 05.03.2017r. w Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej usłyszeliśmy Kaliningradzką Obwodową Orkiestrę Instrumentów Ludowych

a) *Instrumenty ludowe słyszałam ostatnio ponad 20 lat temu tańcząc w zespole ludowym.*

b) *Do obwodu kaliningradzkiego jeżdżę często na gościnne występy po paliwo i papierosy.*



Agnieszka Kacprzyk – ur. 1980, absolwentka filologii na UAM w Poznaniu. Autorka trzech powieści oraz współautorka opowieści biograficznej o Mirosławie Smerku nagrodzonej Wawrzynem w 2015 roku. Matkuje, biega, chuligani, zamiast grządek uprawia eventy albo terror uliczny.

Marta Pietraszun - kolaże

Mariusz Kwiatkowski – mówią: po pięćdziesiątce. Meandrysta sieciowy. Nieliteracko: informatyk. W zależności od typu rezonansu – pół albo 2/3 kręgosłupa do wymiany. Rentier: rehcista. Miewa na czynsz. Pisze – by dać światu chęć do wstawania. Włóczyki – 9 miast za sobą.

Olga Żmijewska – Europejka, idzbarszczanka, kulturoznawczyni, tłumaczka przysięgła języka niemieckiego, kilku innych języków, a także kultur miejskiej i wiejskiej, polskiej i niemieckiej oraz wysokiej i popularnej. Żyje w szpagacie i w drodze. Kocha takie życie!

Michał Dąbrowski – lat 18, maturzysta z Pierwszego LO. Pisze prozę, głównie opowiadania we wszelkiej konwencji. Często brany za poetę, ku jego irytacji i zażenowaniu. Stały bywalec olsztynskich spotkań literackich różnej maści. Laureat niczego, choć, jak sam mówi, jeszcze wszystko przed nim.

Dariusz Górkiwicz – ultramaratończyk, zakochany w Meksyku i kulturach prekolumbijskich, nie purysta jazzowy i nie purysta metalowy. W wolnych chwilach zajmuje się terapią zajęciową poprzez muzykę i teatr.

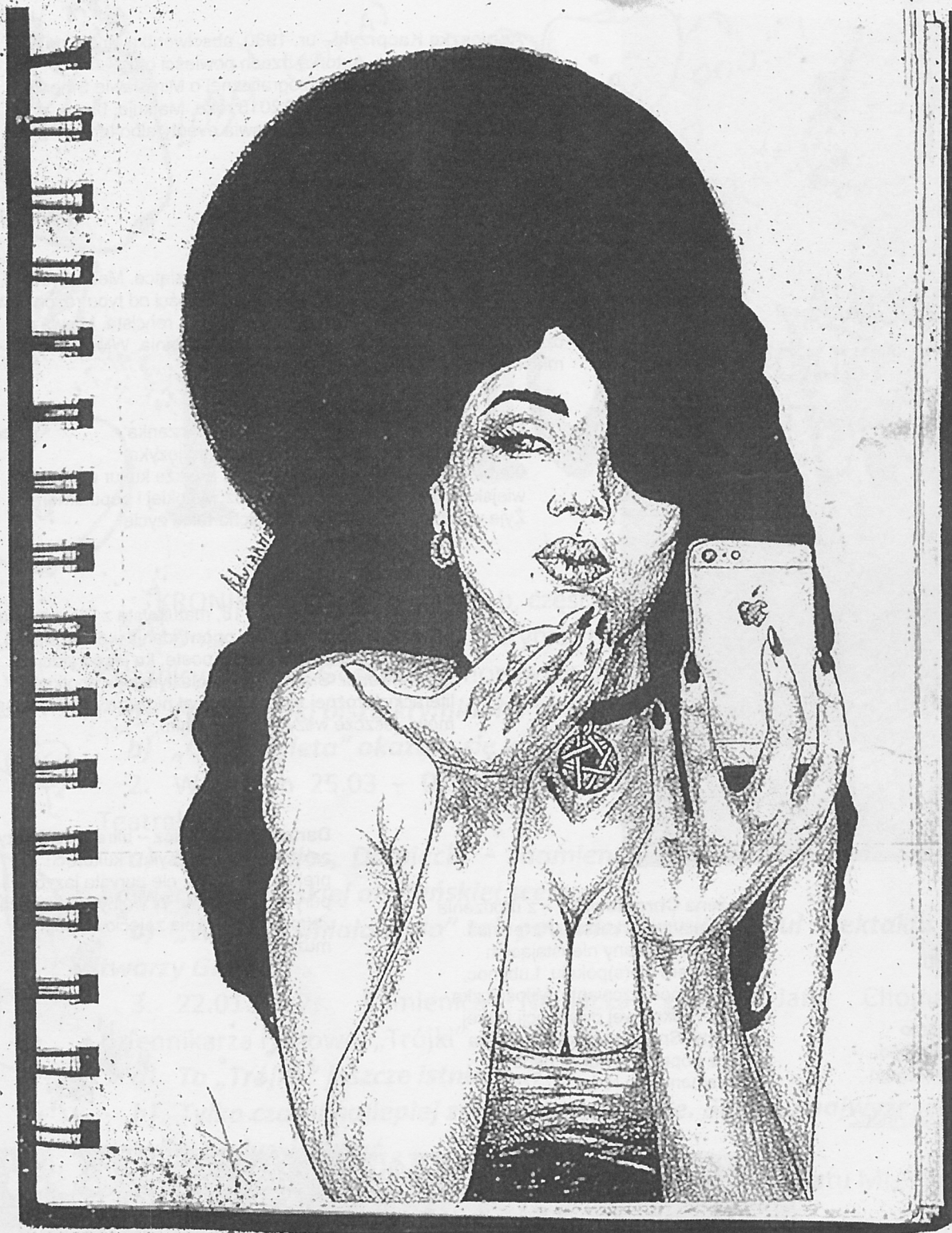
Szymon Żyliński – ur. 1980, debiutował w „Borussi” opowiadaniem „Kukułka”; współtworzył olsztyńskie pismo literackie „Zoopa”. Lubi jeździć po świecie. Posiada vloga, do którego subskrypcji zaprasza <https://www.youtube.com/c/SzymonZyliński>

Bożena Chrostowska – z urodzenia olsztynianka, z korzeni Kurpianka. Wrażliwiec gnany nieustającym poczuciem nie(s)pokoju. Lubi noc, bluesa i podróżowanie. Miłośniczka Krety i pokojowej cywilizacji Starej Europy. Społeczniczka. Działa na rzecz poprawy sytuacji osób z autyzmem i ich rodzin.

Karolina Szymańska – wrażliwa marzycielka, dla której pisanie jest sposobem na wyrażanie siebie i refleksji o świecie. Na co dzień studentka, zafascynowana teatrem i podróżami.

Ada Korzeniewska – artystka, maturzystka, harmider





Papierówka. Patchwork. ARTZIN. — egzemplarz za free!



Jabłko – kuszący owoc drzewa, słońca, deszczu i owadów. Owoc kuszący nie tylko robale, ale i wyższe formy życia.

Jaja – gąsienica – poczwarka – imago. Poszczególne etapy cyklu rozwojowego motyli. Czy można któryś z nich pominąć?

Tak, nie, nie wiem.

Imaginacja w olsztyńskim Spichlerzu staje się słowem. Zajęcia literackie? Co to jest? Autorzy zmagają się z plastyką języka.

Szukają odpowiedzi na pytanie: „Jak to się pisze, że jest napisane?”

Powstaje patchwork ze zróżnicowanych gatunkowo prób literackich. Nadajemy mu formę artzina.

Prosimy obchodzić się z trzymanym w RĘKACH materiałem ostrożnie. Został wydany przez Miejski Ośrodek Kultury w technice ksero 300 razy. 300 papierówek. 300 jaj, gąsienic, poczwarek, imago. Taka forma. Taki wstępniak. Może być?

Tak, nie, nie wiem. Czytajcie.

Karolina Lewandowska